

SZLAKIEM

X MUZY

Z Rzymu pisze Jerzy Hordyński

Odszedł wielki aktor ● Janda i Loren, czyli dwie gwiazdy i ich korzenie ● Przeczekam jeden zakręt — mówi Wajda ● Włosi odkrywają polskie kino ● Żal starego Sorrento...

Niespodziewana wiadomość radiowa zmieniła koncepcję korespondencji, którą miałem zamiar poświęcić całkowicie Rzymowi. Z końcem października zmarł Ugo Tognazzi. Zastąpił na planie w czasie kręcenia nowego serialu telewizyjnego. Nikt nie przypuszczał, że chwilowa niedyspozycja zamieni się w śmiertelny wylew. Był uosobieniem siły, wdzięku i męskości. Geniusz komizmu, ze szczyptą melancholii i autoironii. Miał za ledwie 68 lat, mógł więc sobie pozwolić na szaleńczy tryb pracy. 7 listopada w teatrze Eliseo miał wznowić grana z sukcesem przed wakacjami komedię *Madama Butterfly*, ale prawdziwą jego pasją był film.

Nie od razu władcy Cinecittà poznali się na nim. Dość długo terminował w rodzącej się telewizji, zanim w latach pięćdziesiątych zawiądnął dużym ekranem. Występował w 130 filmach. Stał się ojcem „commedia all'italiana”. Nieśmiały z natury, potrafił być ostry w polemikach, np. z Fellinim podczas kręcenia *Satiriconu*, a raczej dwu konkurencyjnych filmów o tej samej tematyce. Poznałem go wiele lat temu. Bywałem często w domu producenta Sansoniego, stąd znajomość z Tognazzim. Uwielbiał Rzym i tu-tejszą kuchnię — był znakomitym kucharzem. Kiedyś na planie nowego filmu Marka Ferreriego miałem okazję do dłuższej rozmowy i zjedzenia naszego wspólnego obiadu z Tognazzim. A wszystko zawdzięczałem pieskom, których ani rusz nie można było nakłonić do uciech miłosnych. Ferreri — znudzony namowami i zabiegami — zarządził przerwę w nadziei, że pieski się zdecydują. Było jednak piekielnie gorąco, więc ich apatia erotyczna była całkowicie uzasadniona. Tognazzi opowiadał mi, że bez Rzymu i filmu nie potrafiłby żyć, pasjonował go od najwcześniejszych lat. Ale święcił triumfy również w teatrze. Nie zawężał swego talentu do ściśle określonych temperamentów ról. Stąd przyjaźń z Ferrerim — trudnym reżyserem, nie zawsze „kasowym”. Nie wszystkie filmy mogły liczyć na sukces szerokiej publiczności, jak np. *Królowa pszczoł* czy *Wielkie żarcie*, w których zmarły artysta odniósł ogromny sukces. W sumie — był protagonistą sześciu filmów Ferreriego. Publiczność włoska chce się bawić w kinie, stąd np. triumf w dwu filmach *Il vizietto* (Błęźnik) — o perypetiach panów, którzy ponad wszystko przedkładają własną pleć w życiu uczuciowym. Złota Palma w Cannes dokonała międzynarodowej konsekracji Tognazziego. Uwodziciel mężatek i dziewicz na ekranie, trubadur antypatosa, kpiący ze wszystkich i z siebie, potrafił na ekranie być również czułym ojcem, szczególnie w ostatnich latach, gdy coraz mniej pracy miał już charakterystyczny. Odszedł wielki aktor. Niestety, na zawsze.



Z końcem września uczestniczyłem w festiwalu filmowym w Sorrento. Odbiwał się on po raz dwudziesty siódmy. Byłem wielokrotnie na tej imprezie w ubiegłych latach, która za każdym razem była poświęcona innemu krajowi, nie tylko europejskiemu. W tym roku odstępiono od tego schematu i obok kinematografii polskiej zaprezentowano młode kino włoskie, a na dodatek film feministyczny, który nie wzbudził zainteresowania publiczności. Na sali było dosłownie kilka lub kilkanaście osób. A szkoda, bo tematyka ogólna zawierała się w hasłach: *Dwie gwiazdy i ich korzenie* — a więc Krystyna Janda i Sophia Loren, oraz *Dwa kraje i jedna pasja*. Ten przegląd zainaugurowano filmem Agnieszki Holland *Gorzki zbiór*.

Filmy polskie do zasadniczego przeglądu wybrał dyrektor artystyczny festiwalu, Valerio Caprara, przebijając materiał z ostatnich lat, z wyjątkiem zdjętego z półek *Przestuchania* Ryszarda Bugajskiego. Wielki triumf Krystyny Jandy poprzedziła fama, że właśnie za główną rolę w tym filmie dostała Złotą Palmę w Cannes. Przyjechała do Sorrento z matką i synkiem tuż przed wyskokiem do Paryża. Niekana wywiadami, oblegana przez fotoreporterów, nie miała zbyt wiele czasu, by delektować się wspaniałą letnią pogodą jaka nas laskawie nawiedziła. Nad wyraz gościnni gospodarze oddali dużej grupie polskich reżyserów i aktorów autokar, proponując dwie wycieczki. Namawiałem gorąco panią Jandę, żeby przyłączyła się do tej wyprawy. Niestety, obawiała się jazdy ze względu na ciążę. Przepraszam, że ujawniam tajemnice rodzinne.

Andrzeja Wajdę dopadłem na basenie kąpielowym na godzinę przed wyjazdem. Przyjechał do Sorrento w towarzystwie żony, znakomitej scenografki, Krystyny Zachwatowicz. Też zmęczyla go pogoda reporterów wszelkiej ma-

ści. Za chwilę odleci do Kolonii na prezentację filmu o Korczaku. Pytam, czy naprawdę zrezygnował z filmu na rzecz polityki? Senator Wajda odpowiada: Traktuję moje obowiązki serio, nie mogę zawieść wyborców, ale wkrótce to się skończy. Nie zamierzam ubiegać się o mandat w następnej kadencji. Przeczekam jeden zakręt. Obraz naszej przyszłości nie rysuje mi się w zbyt jasnych barwach. Oczywiście, myśli już o nowym filmie. Chciałby przenieść na ekran sztukę Grassa o powstaniu w Berlinie w 1954 roku. W Warszawie wyreżyseruje dla teatru *Zimową opowieść* Szekspira z Gustawem Holoubkiem w głównej roli, a na wiosnę przyszłego roku przygotowuje w krakowskim Starym Teatrze *Wesele*, które, jak twierdzi, coraz bardziej jest aktualne. Opowiadam państwu Wajdom o ciekawej wystawie w Spoleto im poświęconej. Urządził ją, oczywiście, niezamordowany w propagandzie naszej sztuki, Marco Querel. Były to projekty reżyserskie, scenograficzne i kostiumologiczne naszych znakomych twórców. Pani Zachwatowicz będzie prowadziła w warszawskiej szkole teatralnej seminarium scenograficzne dla paru słuchaczy, a talentów — jak twierdzi — u nas nie brak. Brak za to pieniędzy. Młodzi reżyserzy przede wszystkim na to się skarżą. Nowa polityka kulturalna nie sprzyja filmowi. Trzeba uganiać się za sponсорami, ale gdzie ich znaleźć? Jak nakłonić państwo do zwiększenia dotacji? Dodajmy, że ten rozpaczliwy krzyk rozlega się również we Włoszech.

Uwaga w Sorrento skupiła się przede wszystkim na filmie polskim, właściwie tu prawie nie znanym, poza kilku obrazami Wajdy i Zanussiego. Miał wraz z nimi przyjechać również Kieślowski, ale kręcenie nowego filmu ten wypadek uniemożliwiło. Ostatnio właśnie Kieślowski przebił mur obojętności i *Dekalogiem*, który bił rekordy powodzenia,

zwrócił uwagę Włochów na polski film. W Sorrento odkryto naprawdę naszą kinematografię. Prasa poświęciła jej wiele artykułów, a konferencje naszych reżyserów i aktorów przykuwały uwagę. Są już rezultaty. Zakupiono 300 mł do nieba Marka Dejczerza i *Déjà vu* Juliusza Machulskiego. (Genialny Jerzy Stuhr — śmiałem się do łez.) Duże zainteresowanie wzbudził *Konsul* Mirosława Borca. Tu potraktowano rzecz jako komedię w stylu neapolitańskim, a nie jak osąd moralny pewnej części społeczeństwa, czego domagał się reżyser. *Ostatni prom* Waldemara Krystka też stał się tematem do rozmów w kuliuarach, nie zawsze w problematyce polskiej zorientowanych bywalców kin.

Nad całością naszego popisu w Sorrento czuwał wielki krytyk i nasz przyjaciel, Gian Luigi Ron-di. Podczas rozdania nagród, którym patronuje De Sica, nie szczędził laureatom ciepłych słów, szczególnie ciepło mówił o odwadze naszego krytyka, Bolesława Michałka, który też został nagrodzony, a prócz niego: Krystyna Janda, Krzysztof Kieślowski, Andrzej Wajda i Krzysztof Zanussi. Trzech Włochów otrzymało te same nagrody „alla carriera”: Alberto Lattuada, Mario Pesucci i Gian Maria Volonté.

Rozpocząłem to wyliczanie od Bolesława Michałka, który na festiwal przybył w podwójnej roli: krytyka i ambasadora Najjaśniejszej Rzeczypospolitej przy Kwirynale. Nie może być wdzięczniejszej symbiozy. Nasza lokomotywa filmowa może wreszcie ruszyć pełną parą.

Na zakończenie festiwalu przyjechał Vittorio Gassman — spieszyl się do Rzymu, bo lansował własny, nowy teatr. Po co się tak wszyscy spieszą? Tego dylematu chyba nigdy nie potrafię rozwiązać.

Sorrento straciło swój zaciszny charakter. Już prawie nie widać gajów cytrynowych i pomarańczowych, a rozszalałe budownictwo nowoczesne osaczyło miejscowość.